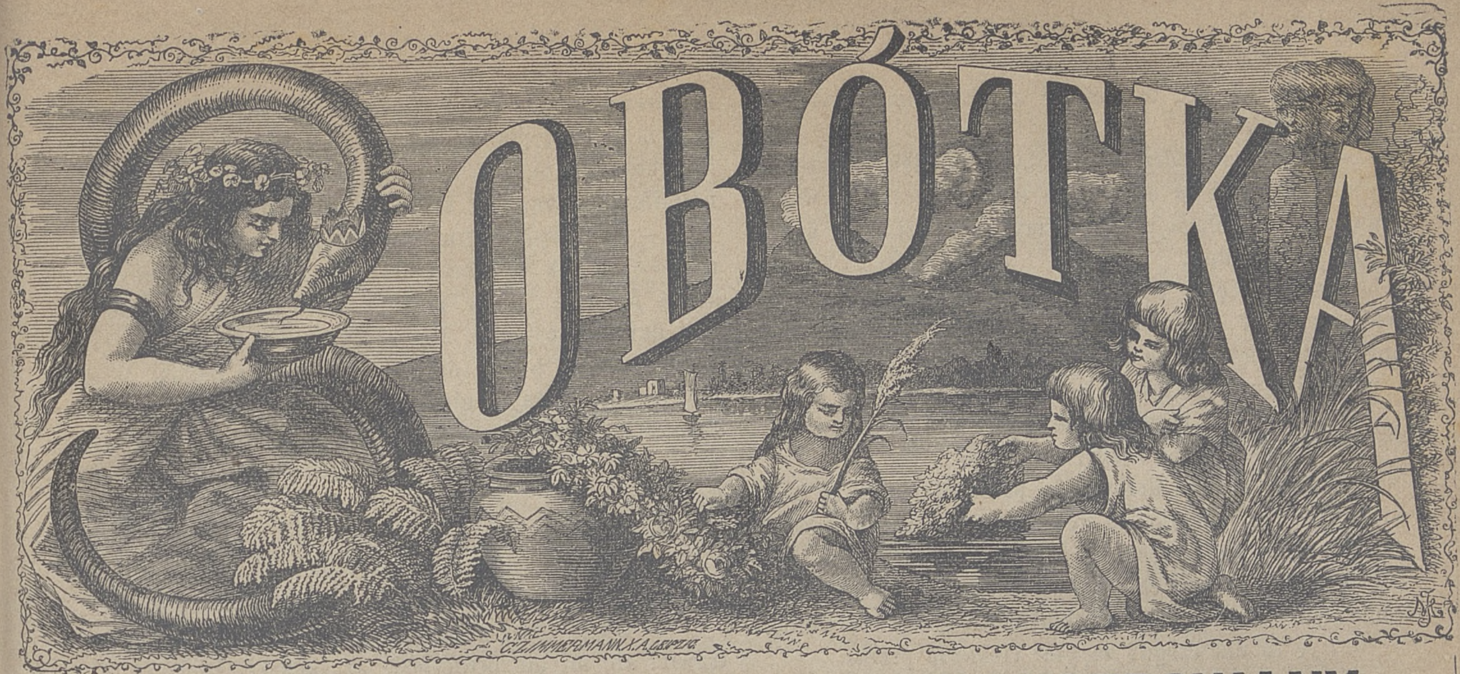


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach miesięcznych po 5 sgr.

№ 4. Poznań, dnia 23 Stycznia 1869. Rok. I.

AMERYKANIN.

Powieść z czasów Kościuszki

napisał **Wł. K. Wójcicki.**

(Dalszy ciąg.)

Poważny starzec załkał rzewliwie; prezesowa ze smutkiem w oczach ściskając go za rękę, rzekła drżącym głosem:

— My umiemy czuć i podzielać twą boleść, szanowny konsyliarzu!

Kościuszko powstał, ujął jego ręce i przemówił wzruszony:

— Mój doktorze! na twą boleść Bóg tylko i czas mają lekarstwo. My pojmujemy takie straty.

— Dziś, mówił spokojniéj Stakenszmitt, jest rocznica śmierci méj żony i mojéj jedynaczki: chciałem się waszą obecnością rozweselić, a zamiast tego zasmuciłem was wszystkich. Darujcie biednemu pustelnikowi.

Całe grono otoczyło go ze współczuciem, dziękując za przyjęcie gościnne i pożegnało. Przed mieszkaniem prezesostwa pożegnano damy i w milczeniu rozeszli się oficerowie na swoje kwatery. —

Do północka w oknie dworu Kościuszki widać było światło. Znać niepokój sen spędzał mu z powiek. Siwy Jędrzej, stary wiarus na służbie będący, zajrzał przez szybę, i dojrzał jak siedział jenerał przy stole, pogrążony w głębokiéj zadumie. Przeżegnał go krzyżem świętym i sam odmówił „Pod Twoję obronę.“

V.

Kiedy wesoło zebrane grono bawiło w ogrodzie doktora, a prezes po smacznéj drzémce zamierzał wyjść, ażeby dzielić jego uciechy, zaturkotał pojazd i stanął przed domem. Niedługo stary Walenty zameldował, iż przybył starościc Koziegłowski, szambelan króla JMości, który chce złożyć swe uszanowanie.

— Prosić! prosić! odrzekł prezes i sam, powstawszy z sofy, zbliżył się do drzwi na środek pokoju.

Ukazał się w nich teraz gość niespodziewany: średniego wzrostu, wychudły, z twarzą zmarszczkami okrytą, uśmiechniętą ciągle. Na głowie miał perukę fryzowaną — modny surdut po kolana popielatéj barwy z krótką pelerynką — kamizelkę atłasową jasno-zieloną, suto haftowaną złotem, spodnie za kolana tylko. przewiązane czarną wstążką — białe, jedwabne pończochy i krótkie ze sztylpami buty, do połowy łydek sięgające.

Zapach mocny piżma wypełnił pokój. Szambelan po grzecznym ukłonie stał chwilkę, wpatrując się w gospodarza domu, zażył ze złotéj tabakierki tabaki, błysnął brylantowym pierścieniem u prawéj ręki, poprawił koronkowych żabotów u gorsetu i przy mankietach.

Kiedy prezes patrzał zdziwionemi oczyma na swego gościa, ten, wdzięcząc swoje oblicze, mówił powolnym głosem:

— Więc mnie już prezes, mój stary amicus, nie poznaje? przecieżeśmy razem byli na koronacyi Najjaśniejszego Pana, szczęśliwie nam panującego. Żurowski na te słowa z uszanowaniem pochylił głowę, a szambelan daléj mówił:

— Tak! tak! panie Macieju, nie poznałeś swego Ignasia, którego za dobrych naszych czasów zwałeś zawsze fircykiem. Prezes z radosnym uśmiechem podał mu wtedy rękę, uścisnął i posadził obok siebie.

— A mój panie Ignacy, nigdybym cię nie poznał! djabelnie się podstarzałeś, luboć — co prawda to nie

grzech — już rok trzydziesty z góry minął, jakeśmy się nie widzieli.

— Co tam! odrzekł wesoło szambelan, starzejem się na twarzy i w czuprynie, ale nie sercami; wszak prawda, panie Macieju? Jesteśmy zawsze starymi a dobrymi przyjaciółmi.

I rzucił się w objęcia gospodarza. — Prezes Walentemu kazał przynieść dobrego węgrzyna: szambelan bowiem podziękował za podwieczorek, a po jednym i drugim kieliszku rzekł niby niechcący:

— Cóż tutaj porabia Amerykanin?

— Jaki? zapytał zdziwiony prezes.

— Czyż się nie domyślasz, panie Macieju, że mówię o waszym jenerale, co stoi kwaterą w Międzyborzu?

— A! o Kościuszce!

— Tak! o nim chcę mówić, ciągnął z uśmiechem ironicznym—któregom już przeklął na złéj grobli ztąd o milę.

— A to dla czego? zapytał ciekawie prezes.

— Bo z jego powodu musiałem zboczyć z drogi i wstąpić do Międzyborza i do was, prezesie, spełniając wyraźnie rozkaz Jego Król. Mości, szczęśliwie nam panującego.

Zadziwienie coraz większe wzrastało w gospodarzu domu: dostrzegł to szambelan, a wychyliwszy czwarty węgrzyna kieliszek, rzekł cichszym i wolniejszym jeszcze głosem:

— Zacznę ci więc ab ovo. Wiesz zapewne, że babka moja, co mieszkała pod Humaniem, umarła we Lwowie, zapisując mnie cały swój majątek. Właśnie byłem na służbie u króla Jegomości, gdy odebrałem o tém wiadomość; prosiłem więc Najjaśniejszego Pana o urlop, który łaskawie udzielić mi raczył.

— A którędy twoja droga, szambelanie? zapytał mnie. Ja wymieniłem znaczniejsze etapy.

— Proszę Cię, mój panie Ignacy, rzekł dobrotliwy monarcha, kładąc swoję piękną rękę na mojém ramieniu: Zrób mi jednę grzeczność. — Ja skłoniłem głową z uszanowaniem, oświadczając, że będzie to dla mnie najmilszą rzeczą, gdy król Jegomość mówił daléj:

— W Międzyborzu stoi kwaterą nasz Amerykanin — bo tak w zamku króla Jegomości zowiemy waszego jenerała — a przybył tam do Sztakenszmitta mój dawny przyjaciel, Maciej Żurowski, deputat a teraz prezes, wraz z żoną i córką, bardzo piękną panną. Wiesz mój Ignacy, zniżając głos swój dodał Najjaśniejszy Pan, że nasz waleczny Amerykanin wielki bałamut. Jak mam wiadomość, łatwo zdobył serce młode panienki, ale wiedząc, że ojciec tak łatwo mu córki nie da, bo całém jego majątkiem, jest ranga jeneralska....

— Przecież ma swoję wieś od przodków dawnych, Siechnowice! — przerwał dotknięty żywo prezes.

— Gdzie tam! obełguje! miał, ale dawno zmarnotrawił! ale mi nie przerywaj, aż skończę, kochany Macieju — mówił szambelan, szósty kończąc kieliszek starego węgrzyna, po którym i oczy mu zajaśniały i rumieniec na blade a zmarszczone wystąpił oblicze. — Otóż — mówił dalej król Jegomość — Amerykanin postanowił wykraść córkę prezesowi.

Na te słowa zerwał się z kanapy Żurowski. Widać w nim było wewnętrzną walkę. Nie dowierzał z początku słowom szambelana, ale, gdy rozważył, że król zna tak dokładnie stósunki domowe jego i wie, co się dzieje w Międzyborzu, tak szczegółowo, zaczął niespokojnie przechadzać się po pokoju, nie mogąc dobrać słów do odpowiedzi.

Szambelan, popijając z kieliszka i cmokając ustami, spoglądał z pod oka na gospodarza, który to targał wąsy, to pocierał czupryny, to załamywał ręce i coś pomrukiwał z cicha. Nie mogąc się odpowiedzi doczekać, po długiéj chwili przemówił: (Dalszy ciąg nastąpi.)

Zmartwychwstanie z trumny.

Obrazek z niedalekiéj przeszłości

skreślił **Stefan Chorm.**

Słońce wschodziło leniwie i pomrocznie. Jakoby przewidując nieszczęście dzienne, ociągało się z swym blaskiem, by nie być świadkiem klęsk i pastwienia się nad nieszczęśliwymi. Poczciwa ziemia wyziewała tumany srebrne mgły rannéj, które w téj chwili były nieocenioną osłoną dla kryjących się przed wrogiem dzieci téj ziemi, zroszonéj od wieków krwią ich i uświęconéj prochami i kośćmi poległych w jéj obronie rycerzy. — Lecz już się przedarł promień złoty przez mgły i cienie i oświecać zaczął wnętrze lasów. Lasy szlachetne, wy gmachem schronienia naszego! Dawałyście nam za pościel swą miękką murawę, byłyście świadkami bitew zaciętych i zarazem cmentarzem poległych! Cześć wam i dzięki za wasze przysługi!

Ranek wśród lasu cichy; tu i owdzie zakracze wrona lub odezwie się kukułka. — Już promień słoneczny zbudził w gniazdku panią srokę; Jéjmość zdziwiona i olśniona blaskiem dziwnym, który w jéj ciekawe oko dziś tuż pod jéj siedzibą wpada, ostrzy na błyskotkę dzióbek. — Lecz na próżno! Jest to bowiem kosa wiarusa na czatach, ozłocona promieniami wschodzącego słońca.

„Czy słyszysz trzask jakiś w krzakach?“ rzekł wiarus do obok stojącego z nim strzelca.

„Słyszę, coś szeleści, lecz może to być sarna, bo szelest, ten słaby.“ —

„Gdzie tam! sarna jak leci, to ani słychać. — Djabeł wie, co to.“

„Tchórz z Ciebie, zaraz myślisz, iż to rota Moskali. Trochę więcéj robiliby hałasu.“

„Słyszycie gwizd?“

„Do djabła słyszę!“ i mówiąc to strzelec szybko naciągnął u karabina kurek.

„Prosto idzie to na nas. — Strzelcie na sygnał, alarmujcie obóz.“

„Czyś ty oszalał alarmować obóz i tym strzałem go zdradzać? Tam tylko jeden człowiek iść może, nas zaś tu dwóch, więc mu damy radę, — a w końcu może kto do nas z depeszą się przedziera.“

„Albo też Moskale, skryci w sośninie, wysłali szpiega, by nas odszukał,“ szepnął lękliwie kosynier.

„To go schwycimy, zaprowadzim do obozu i powiesim na suchéj gałęzi.“

„Na Boga, znów gwizd,“ szepnął kosynier.

„Słyszę, ktoś nas szuka; trzeba odpowiedzieć“ i włożywszy palec w usta gwizdnął. — „Teraz baczność!“

Znów się gwizd odezwał i łoskot krzaków prosto ku nim się zwrócił. Niedługo pokazała się twarz gajowego oblana potem i rosą. —

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ rzekł gajowy.

„Na wieki wieków!“ skwapliwie odpowiedział kosynier. „Witajcie Ojcze!“ dorzucił strzelec i spuściwszy kurek, podał mu rękę. —

„Dalekoż obóz?“ rzekł gajowy — „bo muszę się spieszyć; tak już słońce na niebie, a ja jeszcze przed wschodem miałem was odszukać. Ale djabełby tu was od razu znalazł.“

„Czy tu są gdzie Moskale na karku, że tak spieszno?“ zagadł kosynier.

„Jeszcze ich nie masz, ale podobno tu ciągną. Tak mówił ten pan, co przywiózł konno jakiś papier i kazał go piorunem zanieść do obozu.“ — Strzelec, idąc naprzód, prowadził gajowego i burczał kosyniera.

„Gdybym był, jak ty chciałeś, strzelił, byłbym, widzisz, niepotrzebnego narobił bigosu i kpałby mnie zbudzony obóz i dowódzca.“

„Już co nie, to nie! Nie gniewaliby się, gdybyś im nawarzył choć pełen kocieł bigosu — odparł śmiejąc się kosynier — bośmy już dwa dni nie mieli nic ciepłego w ustach.“ —

„Toście pewno głodni?“ zapytał gajowy. — „Flaki tak piszczą, iżbym dzisiaj był w stanie Moskala upiec i zjeść na śniadanie,“ rzekł kosynier.

„Sadła przy sobie nie mam, ale trochę wódki. Jeżeli nie wzgardzicie panowie....“ „To dajcie komotrze!“ rzekł kosynier, pociągnął łyk spory i podał strzelcowi manierkę. — „A czemubyśmy mieli od brata wódką gardzić?“

„Proszę panów....“ zaczął gajowy, gdy mu przerwał kosynier: „Dałbyś komotr pokój z panianiem; ja nie panem, tylkom parobkiem był u mego pana.“ —

„A zkądżeście wy?“ — ciekawie zagadł gajowy. — „Z pod Tarnowa!“ — „Z tak daleka się bić tu przybyliście?“ — „A bo to nie jeden kraj? bośmy to nie bracia, i nie jednéj wiary? — rzekł kosynier. — Powinniśmy się bronić! — Nie możemy pozwolić, by Moskal krzyże święte rąbał, modlić się zabraniał, plugawił kościoły, bezcześcił obrazy naszéj królowéj Częstochowskiéj i profanował nasze najświętsze sakramenta.“ — To mówiąc skłonił głowę i uchylił na cześć trochę czapki; tożsamo za nim zrobił i gajowy.

„Szczęść wam Boże, byście ich wygnali! A to weźcie odemnie na pamiątkę, komotrze,“ rzekł, podając mu manierkę z wódką, gajowy. — Już przyszli do obozu. — „Na Boga, co tu narodu!“ mruczał sobie gajowy, ujrzawszy pokotem leżący obóz. – Pod krzakami rozlegiwała się wiara. Jedni gwarzyli cicho, drudzy otuliwszy się, zasypiali smacznie, inni, widząc obcego człowieka, zabiegali mu drogę, — „kto to?“ ciekawie się zapytując. — „Swój, swój!“ — odpowiadał strzelec i prowadził prosto ku sośnie, pod którą na stosie karabiny i kosy były zebrane. Pod samą sosną owinięty w czarną burkę spał słusznego wzrostu mężczyzna z rewolwerem w ręku. Przy nim siedział i czyścił sobie pałasz młody człowiek, lecz z uzbrojenia i ubrania poznać można było, że jest starszym w oddziele i oficerskiéj rangi. — Widząc nadchodzących, wstał i kilka kroków ku nim postąpił.

„Proszę pana adjutanta,“ — wyprostowawszy się rzekł strzelec, — „prowadzimy gajowego, co niesie depeszę i bardzo pilną, jak mówi, dla dowódzcy.“

„Chwała Bogu,“ — odrzekł adjutant, „że się dowiemy, co się dzieje w świecie, bośmy tu jak żaby utonęli w bagnach.“ „No, dawajcie pismo komotrze“ — i obrócił się do gajowego.

„Zaraz proszę pana, bo to człowiek musi się strzedz, by na przypadek spotkania z Moskalami, nie wpadło im pismo w rękę. A że kozacy tak zaraz obmacać i zwąchać umieją, gdzie człowiek co skryje, więc ja zawsze na taki się sposób biorę“ — i pogłaskawszy psa kudlatego, który ciągle szedł mu przy nodze, zdjął obrożę z niego i z po za skóry jéj wyciągnął zwitek papieru.

„Czekajcie na odpowiedź, Ojcze,“ — rzekł adjutant, a sam obróciwszy się, doszedł do śpiącego w burnusie mężczyzny i trącając go po ramieniu lekko, szepnął: „depesza przyszła, pułkowniku!“ — Zerwał się śpiący i przetarłszy oczy, schwycił skwapliwie za papier. Rozłamawszy pieczątkę, przebiegł szybko pismo oczyma, a potém z pochmurném czołem, pokręcając wąsa i błądząc ponurém okiem w około, podał kartkę z depeszą adjutantowi i rzekł cicho: — „Djable źle! przeczytaj!“ — Ten przebiegł oczyma i milcząc oddał mu ją napowrót. „Co pułkownik rozkaże?“ po niejakiéj chwili zapytał. Lecz zapytany milczał i namyślając się tarł sobie czoło. — Naraz się zerwał, stanął i gromko krzyknął: „Do broni! niech zbierze się wiara, każ zakomenderować oficerom!“

Jednym susem znikł adjutant wśród krzaków. — Nawoływanie do broni! — „Wstawaj! — formuj się!“ — szczęk broni, szmer, klątwy i śmiechy, wszystko to razem brzmiało po obozowemu i zakłócało ciszę leśną. Wystraszone ptastwo opuszczało gniazda swoje śpiesznie i z łoskotem, a niemiłym i przeraźliwym chórem krakały wciąż nad obozem wrony.

„Co te szelmy tak krążą nad nami? Nie uciekają, choć czują broń u nas“ — rzekł strzelec do gajowego. — „Zła wróżba!“ — odmruknął gajowy. „Ten ptak czuje naprzód trupy; będzie dzisiaj pewno bitwa.“

„Już mi się ona od trzech dni śniła. Dziś we śnie właśnie uciekałem w bory, słysząc, że we wsi bitwa, a tu budzi mnie ten pan, który kazał nieść do obozu depeszę“ — Wtém się obrócił ku nim dowódzca i zagadł: — „Toście wy, przyjacielu, przynieśli depeszę?“ —

„Tak,“ — kłaniając się odparł gajowy. —

„Znacie wy dobrze te bory?“ —

„Ja tu w nich urodzony i wychowany. Teraz lat dwadzieścia na św. Jan będzie jak jestem w nich gajowym.“ —

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Zalew żup solnych w Wieliczce.

(Z 4 rycinami.)

Ziemia polska nie obfituje w cuda przyrody, któreby ciekawego nęciły podróżnika i miłą rozmaitością bawiły oko, posiada jednakże jednę osobliwość, któréj chwała jest głośną na całą Europę. Są to słynne kopalnie soli w Wieliczce. Natura, któréj macierzyńska ręka hojnemi szafuje dary, złożyła w naszéj ziemi nieoszacowany ten skarb, łącząc w nim umiejętnie wielki, nieoceniony pożytek z pełną uroku pięknością. Oddawna już żupy solne w Wieliczce są źródłem zamożności kraju naszego; wieki całe czerpią nieprzebrane bogactwa z złotodajnego ich łona, a z każdym wiekiem przybywa nowe piętro w głębi tego olbrzymiego gmachu, który obecnie siedm kondygnacyi liczy. Podróżny zstępuje w tajemnicze wnętrze podziemnéj téj krainy, jakby w otchłań dantejskiego piekła; a gdy przy świetle pochodni przewodników coraz niższe przebiega piętra, gotów prawie uwierzyć na widok majestatycznéj piękności podziemia, że cudowna różczka czarnoksiężnika przeniosła go do jednego z tych zaczarowanych pałaców, jakie napotykamy w wschodnich powieściach.

Pod szarą powłoką ziemi kryją się tu nieopisane cuda i dziwy, pełne oryginalnego uroku i poezyi. Nakół piętrzą się olbrzymie sklepienia i słupy wykute w soli, na których gładkiéj, szklistéj powierzchni smugi światła tysiącem sypią iskier i w tysiączne łamią się kształty. Zdumiony widz przechodzi kręte chodniki, śmiałym łukiem wznoszące się nad przepaścią mosty i wszędzie napotyka nowe niespodziewane cuda, w których widnemi są zarówno szczodra ręka natury, jako i przemysł człowieka. Przed oczyma jego przesuwają się czarowne kryształowe pieczary, z przepychem urządzone sale o szklistych, iskrzących się ścianach, pełne arcydzieł sztuki i posągów wykutych w soli, piękna kaplica (porównaj rycinę 1) i całe szeregi podpierających sklepienia filarów.



Kaplica św. Antoniego.



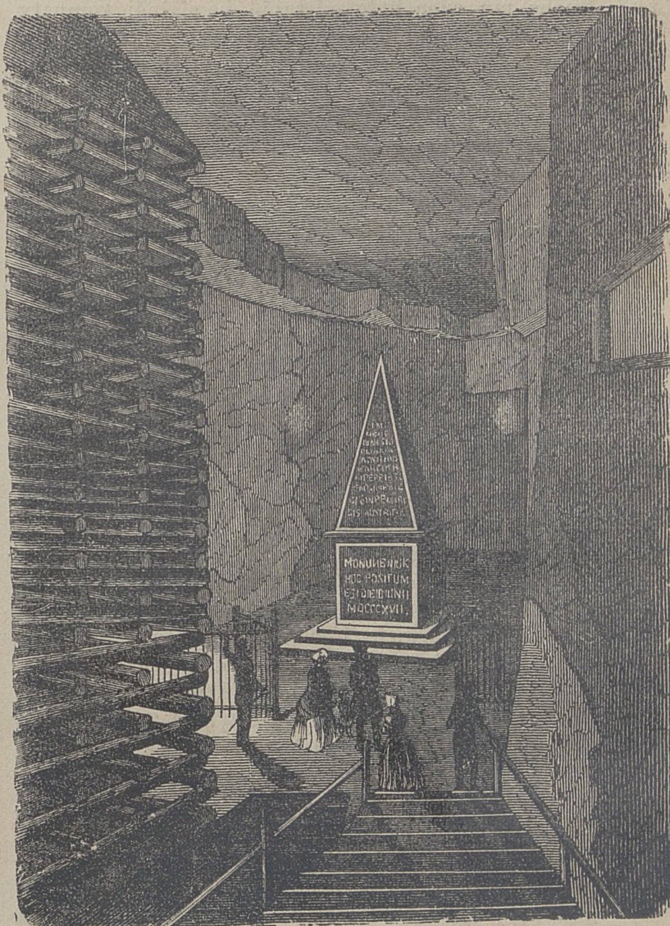
Podziemne jezioro Przykos.

W głębi jednego piętra stoi spokojnie jezioro Przykos (porównaj rycinę 2) po którego powierzchni, gładkiéj jak szyba lodu, ślizga się bez trudu łódź przewoźnika. A gdy wesoła zagra muzyka i cały ten zaczarowany świat przy świetle bengalskich ogni w najskrytszych swych zakątkach zapłonie gwiaździstym blaskiem, nieopisane uczucie czci i uwielbienia budzi się w piersiach każdego widza. Zdumione oko gubi się w téj lodowéj otchłani i z przestrachem spogląda na te olbrzymie masy soli, które bez żadnéj podpory zdają się wisieć w powietrzu. Potężne echo powtarza każdy wystrzał w ogromnym tym gmachu i wstrząsa silnie całém sklepieniem. Czyste, jędrne powietrze, tchnące niejako wieczną świeżością i zdrowiem, napełnia całe wnętrze kopalni i wybija się na czerstwéj twarzy robotników, którzy niezmordowanym swym młotem torują sobie coraz daléj drogę wśród skał, stojących im na każdym kroku nową zaporą.

Na widok tych olbrzymich, wspaniałych żup solnych zdawaćby się mogło że skarby ich są nieprzebrane, że Opatrzność oddała nam je jako wieczysty fundusz bogactwa i zamożności kraju, ale niestety niebaczność i niepomiarkowana chciwość niszczą nieraz najtrwalsze arcydzieła natury. I tu jedna chwila nierozwagi może się łatwo stać przyczyną zupełnéj ruiny tego skarbu ziemi naszéj, który był dotychczas celem wycieczek nie tylko każdego Polaka, ale i przybywających z dalekich stron cudzoziemców.

Nie zadowalniając się solą kamienną, nakazał rząd austryacki naraz poszukiwać soli fabrycznéj (chloran-potażu) w Wieliczce i zaczęto w tym celu pracować w północnéj stronie kopalni — w miejscu, które już od dawna naznaczone było na mapie górniczéj czarnemi krzyżami, jako niebezpieczne siedlisko słodkiéj wody, owego głównego nieprzyjaciela żup solnych. Dnia 19 listopada 1868 r. pokazał się w tém miejscu mały promień słodkiéj wody i zaczął się zwolna przebijać przez ścianę soli. Zjawisko to jednak nie zdawało się nikomu groźném i ograniczono się tylko na sprowadzeniu sączącego się strumyka do ogólnego wiodozbioru za pomocą przystawionych do ściany rynien. Ale skromny ten na pozór strumyczek był tylko zwiastunem prawdziwego niebezpieczeństwa i miał się w dni kilka zamienić w straszną powódź. Otwór, którym się promień dobywał, powiększył się nagle i woda buchnęła szeroką falą, zalewając cały chodnik, i siejąc przestrach i osłupienie w całym zarządzie górniczym, który na razie zupełnie stracił głowę. Rzecz, utrzymywana z początku w tajemnicy, wyszła jednak na jaw, szerząc zamięszanie w całém mieście, którego losy ściśle są połączone z losami kopalni. Popłoch ludu, zbierającego się tłumnie na miejscu, zkąd było słychać szum falującéj w żupach wody, zmusił nareszcie zarząd górniczy do otwartego wystąpienia. Zwołano komisyą i zaczęto radzić o usunięciu niebezpieczeństwa. Pod kierownictwem najwyższego urzędnika zrobiono pierwszą próbę zatamowania co dzień wzmagającego się wylewu rzucaniem worków, napełnionych piaskiem i gliną, ale bystra woda zabierała wszystkie te zapory ze sobą i płynęła daléj z niepowstrzymanym pędem. Nareszcie nie mogąc przytłumić zwycięzkiego żywiołu, ujęto go przynajmniéj w karby i w jeden punkt skierowano. Szerokie, z desek zbite „lutnie“ ujęły w swe koryto wezbrany potok i ułatwiły przystęp do zagrożonych części kopalni. Po trzech dniach nieustannéj pracy stanął wreszcie w pobliżu fatalnego otworu silny w mur, przecinający szerokość całego chodnika i jednocześnie zamknięto klapę lutni, którą woda dotychczas płynęła. Ale już po kilku godzinach musiano klapę otworzyć i zostawić swobodny odpływ wodzie, która zaczęła się dobywać bokiem grożąc zupełném podminowaniem chodnika. Odtąd potok zalewa nieustannie wnętrze kopalni; już całe siódme i szóste piętro zalane i z każdym dniem powiększa się obawa, że woda, która ma własność rozpuszczania soli, podmyje wreszcie solne słupy wspierające całe sklepienie dolnéj kondygnacyi. Wtenczas cały ten podziemny gmach wraz z miastem runąłby bezpowrotnie i zapadłby się w ziemię, a olbrzymie te i pełne cudów i cza-





Wnętrze kopalni w Wieliczce.

rów kopalnie żyłyby tylko odtąd w opisach i opowieściach ludu.

Obecnie całą nadzieję ratunku pokłada komisya w olbrzymich maszynach parowych o sile 250 i 100 koni, które mają rozpocząć działanie w połowie marca i oczyścić żupy w przeciągu trzech miesięcy z nagromadzonéj w nich wody. Środek ten okaże się praktycznym, jeżeli woda jest zaskórnią, jeżeli zaś jest podziemném źródliskiem Wisły, płynącéj o $^3/_4$ mili ztamtąd, nadzieja ocalenia jest bardzo małą.

Zanim spodziewane wielkie maszyny nadejdą, stara się zarząd górniczy wydobywać wodę mniejszemi pompami i pracować nad ubezpieczeniem najwięcéj zagrożonych części kopalni. Oby usiłowania te błogim skutkiem uwieńczone zostały i zdołały ocalić wielki nasz skarb narodowy! Nie masz pewnie nikogo na całéj ziemi polskiéj, któryby z bijącém sercem nie oczekiwał dalszych w téj mierze wypadków....

z.

Sobotnia pogadanka.

Gość ze stolicy, p. Alf, zawitał dzisiaj do Sobótki, trzeba mu więc było odstąpić bawialnéj komnaty, a samemu w ciasnym pomieścić się alkierzyku. Chciałem za to robić wymówki pani redakcyi, lecz ona wskazała mi na szczupły swój domek i rzekła: ciesz się, że ci w ogóle kącik jaki u mnie został, bo dopóki nie przybuduję pawilonu, o którym wciąż marzę, muszę każdemu z moich domowników cyrklem odmierzać zagrodę. — A to co prędzéj poślijmy do papierni, zawołałem! Półarkuszowe dodatki pozwolą nam wszystkim swobodniéj oddychać i obszerniejszym artykułom, które dotychczas schną w głębi teki, wypłynąć na światło słoneczne. — Powoli! mój panie, odpowiedziano mi. Niechaj wprzód w pierzę porosnę. Takie tanie pisma, jak Sobótka, mogą tylko pływać na głębokiéj wodzie prenumeraty. Jeżeli potrafisz do łaskawych czytelników tak czule przemówić, że każdy z nich w kole swych znajomych choć jednego tylko zyska mi abonenta, wtenczas rozwinę szeroko me skrzydła.

Ależ inny jeszcze jest sposób oszczędzenia miejsca, odparłem po chwili, przypomniawszy sobie słyszane pokątnie krytyki. Wyrzućmy owych Indyan i Murzynów, którzy się butnie po całych rozpierają stronnicach, a w miejsce ich wymalujmy skromne obrazki kościołów, ruin, miasteczek polskich. Będzie to narodowe, rodzinne, swojskie.... Ojczyste, patryotyczne, dodaj pan jeszcze, ale i — trochę nudne, wtrąciła moja pryncypałka. Ja zaś pod karą śmierci muszę się trzymać zasady Woltera: „Tous les genres sont bons, hors le genre ennuyeux!“ Prawda, że i polskie przedmioty mogłyby dużo wdzięcznego dostarczyć wątku naszym rytownikom, ale są to rzeczy drogie, na które stać tylko takich magnatów, jak warszawski Tygodnik Illustrowany lub Kłosy. Byłam ja z góry przygotowaną na zarzut kosmopolityzmu, bo całe piśmiennictwo nasze oddawna tak się zasklepiło w narodowym partykularyzmie, że wszelkie uniwersalniejsze kreacye mało co nie uchodzą za odszczepieństwo. Zbawiennie jest pielęgnować rzeczy swojskie, lecz odgradzać się murem od reszty świata, zakrawa na chińszczyznę. Jeżeli pięć czy sześć pism illustrowanych wyłącznie zajmuje się krajowemi przedmiotami, czemuż Wędrowcowi lub Sobótce ma być za zbrodnię poczytywaną, że publiczności polskiéj ukazują nieco szersze widnokręgi. Sobótka nie zapomni zresztą bynajmniéj i o własném gnieździe, jak już dziś świadczą widoki Wieliczki i niezadługo i mnóstwo innych okaże obrazków, których obstalunek nieszczęściem się spóźnił. Obok nich jednakże niechaj będzie wolno ukazywać się i czarnym adamitom z pod Równika lub oliwkowym ludojadom Oceanii, tém bardziéj, że ryciny te będą ciekawe a starannie wykonane. Stojący nam zawsze przed oczami wzór nasz, ś. p. Przyjaciel ludu leszczyński był także wielkim kosmopolitą a mimo to zjednał sobie wziętość i sympatyą jaką się dotychczas żadne z pism polskich poszczycić nie może.

Ale czy przypadkiem.... Dosyć tych al-! przerwała mi prześwietna redakcya. Paladyn niech krytykę zostawi Zoilom, a sam raczéj zajrzy do nowiniarskiéj torebki, czy nie ma tam wątku do gawędki. Urywam więc dalszy rozhowor aby zajrzeć w wskazane miejsce i cóż tam znajduję na dnie? oto koncert „kółkowy“ z balową przyczepką, który w zeszłą sobotę odbył się w Bazarze. Mówiąc w ostatniéj pogadance o tegorocznych zabawach Koła Towarzyskiego, zwanego vulgo „Kółkiem,“ nie wspaniałém nic o takim muzyczno-tańcującym wieczorze, lecz nie mógłem też wspomnieć, dla tego, że on zupełnie extra ordinem przyszedł do skutku. Czy myśl urządzenia go była już dawniéj powziętą i dotychczas stanowiła tylko tajemny artykuł programu, ażeby nieszczęśliwéj „pierwszéj zabawie“ zapewnić awantaż rzeczy zaimprowizowanéj? — czy też w ostatnim dopiero czasie wystrzeliła wśród podnoszącéj się temperatury karnawałowéj? o tém mógłby nam dać wiadomość tylko który z pp. areopagitów Kółka. Dosyć, że zapowiedziano na kilka dni przed tém koncert, nie wspominając nic o tańcach. Tylko kronikarz miejscowy Dziennika Poznańskiego wyraził skromną nadzieję, że publiczność koncertowa, oddawszy hołd Euterpie, zechce potém zapewne palić kadzidła na ołtarzu jéj lekkonogiéj siostry, Terpsychory. Wskazówka taka wystarczyła dla naczéj płci pięknéj, by w stroju tarlatanem i dekoltacyjném trois — quart uwzględnić ewentualność tańców. Spodziewana ta niespodzianka, lecz zapewne jeszcze bardziéj dobór sztuk koncertowych zgromadził bardzo licznie publiczność na sali bazarowéj. Koncert dobrze się udał, lecz gdy przebrzmiały ostatnie tony szopenowskiego poloneza, całe świetne grono płci pięknéj powstało z krzeseł i zaczęło się zwolna posuwać ku wyjściu. Nadzieja tańców już znikła. Lecz wtém gospodarze wieczorku rzucają się jak Winkelriedy naprzeciw płynącéj fali tiulów i batystów. Wsparci przez resztę wyfrakowanéj młodzieży łamią słaby opór i cały pochód zwracają do bufetu. W mgnieniu oka znikły krzesła ze sali, orkiestra zagrała walczyka, a bal wesoło się zaczął.

XX.

Kronika warszawska.

Najdowcipniejszy z dowcipnych, nieśmiertelny muszkieter Dumas I. wyrzekł w chwili rozczulenia te pamiętne słowa: „najtrudniejszemi — najniewdzięczniejszemi na tym padole płaczu rolami — nie wyłączając nawet straży policyjnéj — i konduktorów omnibusów, są role: pierwszego... kochanka i feletonisty.“

Feletonista jeśli godnie ma odpowiedzieć położonemu w nim zaufaniu, nie tylko powinien wiedzieć wszystko

znać się na wszystkiém — rozprawiać o wszystkiém, ale nadto, choćby miał przyzwać do pomocy kulawego djabła Le Sage'a, być wszędzie i widzieć wszystko.

Bracia feletoniści warszawscy, wspierający nasze pisma peryodyczne, są w nader szczęśliwém położeniu. O połowie kwestyi i faktów nie wolno im pisać, a na drugą połowę, prosiła cenzura, aby się napróżno nie fatygowali i żadnéj nie zwracali uwagi!... Biorą więc fakt, o ile możności najniewinniejszy i skromnie go obrobiwszy, ku pożytkowi podają czytelników. O! wybrańcy fortuny! jakże wam zazdroszczę téj rozkoszy, jakiéj zapewne doznajecie pisząc o... niczém. Szczęśliwi śmiertelnicy... ujęci cenzuralnie w przyzwoitości granicach, za nic nie jesteście odpowiedzialni. Nie śnią wam się żadne palące kwestye socyalne i narodowe; reform nie pragniecie, a jeśli zarzut wam uczynią, żeście faktu donośnego znaczenia nie poruszyli, macie gotową odpowiedź: „Pisałem, ale nie puścili!...“ Sprawdzenie trudne: „Honni soit qui mal y pense.“ Inne jest moje położenie!... Nic cenzura nie uchyli i za wszystko jestem odpowiedzialny! Feletonista „Sobótki“ nie może z bracią atramentowi powiedzieć: „wszystko dobrze Jaśnie Panie!“ chociaż burza rozbiła schronienie, grad wytłukł zboże i niedostatek rozsiadł się wielmożnie! Nie może chwalić balowego stroju, gdy gangrena roztacza ciało!... Nie może i nie powinien milczeć, jeśli mu wolno mówić prawdę i cieniować tam, gdzie wy tylko światło widzieć musicie!

* * *

Starożytni mędrcy nauczali, aby każdą rzecz zaczynać od początku z wyjątkiem naturalnie lichych powieści, które się zwykle od końca czytają.

A zatém...

Warszawa leży na lewym brzegu Wisły, niespławnéj właśnie wtenczas, kiedy spławiać potrzeba, a nawet czasami w lecie szczęśliwie sobie wysychającéj! Ma podług rachunku tych, którzy się najczęściéj mylą, 250,000 głów. Czy na seryo głów! o tém wątpi kościół Boży. Jeśli jednak tak jest, to przyznajcie, że Warszawa bardzo mądre miasto!... Ma 200 ulic i przeszło 6000 gmachów i domów, z których 5800 jest pod subhastacyą, a reszta pod sekwestrem. Jest wspaniale oświecaną razem, co jednak nie przeszkadza, że, jeźli staroświecka lampa, księżyc, nie raczy wypłynąć z za obłoków, panuje najdoskonalsza ciemność. Ma władze decentralizujące, centralizujące i ani jedne ani drugie.

Ma trzy główne linie kolei żelaznych, na których trzema odrębnemi mówi się i pisze językami. Szkołę główną, po któréj najświetniejszém nawet ukończeniu młodzieniec nie wie, co ze swoją figurą zrobić. Ma gimnazya, szkoły i szkółki, poświęcone prostowaniu haniebnego wychowania publicznego, przyjętego w całéj cywilizacyjnéj Europie. Dwa teatra, z których wielki powinien nazywać się małym, a mały czyli „Rozmaitości“ wcale się nie nazywać. Teatra te są tak kunsztownie urządzone, że nigdy niema biletów... po zwykłéj cenie. Dwie resursy: arystokratyczną, ‚kupiecką“ i na pół demokratyczną (w prostéj siermiędze, ale z jedwabną podszewką) „obywatelską,“ w których na 365 dni w roku 365 dni grają w karty. Czytelnie są nieużywane, bo i tak się dosyć naczyta... jeden drugiemu w kartach. ‚Towarzystwo harmonijne,“ które jak dotąd muzyce nie wielkie korzyści przyniosło. Warszawa ma trzydzieści kilka pism peryodycznych, syzyfowską prowadzących walkę z olbrzymią skałą gniotącą ich piersi... cenzurą i chronicznym defektem, brakiem prenumeratorów, do których od czasu do czasu wydawcy rozczulające mają przemowy.

Dowiedzioną jest prawdą, że Warszawa jest arcymuzyczném miastem; przynajmniéj ma pretensyą do muzykalności i wysokiego znawstwa. Dowodem „opera włoska“ peryodycznie bawiąca; dowodem stałe symfoniczne koncerta Münheymera i Lewandowskiego, napływ koncertantów i nawał koncertów, nie licząc drobnych miejscowych talentów, zachwycających prywatne zebrania.

Jeźli dodamy, że Warszawa ma powierzchowność wcale przyzwoitą i minę większego europejskiego miasta; że się ślepo stósuje do mody i umiejętnie zakrywa niedostatki i bolesne rany, nie zdziwimy się, że ją przezwali... małym Paryżem, a nas... północnymi Francuzami. A jednak.... Dosyć tego!... Bije godzina karnawału! na post morały!

* * *

Nie potrzeba być na to pesymistą, żeby spostrzedz, że Warszawa, jeźli powierzchownie jeszcze kokietuje, to są już tylko... wspaniałe ruiny. Bawią się... ale niech nas Bóg od podobnych zabaw na przyszłość uchronić raczy. Urzędowy „bal Sylwestrowski“ nie udał się; po skich dam prawie nie było. Młodzieży naszéj nie wiele, za to, zwolenników idei panslawistycznych i starozakonnéj szlachty, nobilitowanéj w 1861 roku przeważna większość. „Kleine, aber nette Gesellschaft“ po spożyciu darów Bożych, które feletonista Dzien. Warszawskiego raczył nazywać „wspaniałą ucztą“ rozjechała się. Pierwsza maskarada nie powiodła się. Nieśmiertelnych tylko kilka Krakowiaków nie do taktu tańcujących i kostyumów, o których krytyka mówiéby musiała z pewném pobłażaniem, całe stanowiły towarzystwo!... Druga i trzecia, będą zapewne liczniejsze, bo tak chce mieć władczyni świata... moda. Nie przypuszczam jednak, aby intryga i dowcip, konieczne maskaradowéj zabawy czynniki, od lat kilku w tym roku powrócić miały. Nic bowiem nie każe wnioskować, abyśmy od 1 stycznia mieli być dowcipniejsi, jak lat zeszłych i przeciwnie ja sądzę, że dalecy nawet jesteśmy od zdobycia, choćby w umiarkowanéj dozie, tak zwanego „rozumu chłopskiego“, skoro w obec ogólnéj biedy, możemy jeszcze marzyć o zabawach. Ale Warszawa powiedziała sobie. „Bonne mine à mauvais jeu“ i bawi się, a przynajmniéj udaje niezwracając najmniejszéj na to uwagi, że stan majętności ziemskich opłakany; dumna, jak renta francuska, chwieje się; stagnacya ogólna, a na kamieniu pokrywającym zwłoki.... kredytu, dawno już mchy porosły! Bawi się, chociaż w komitecie urządzającym jest podobno projekt, aby z Warszawy wynieść wszystkie władze, wyjąwszy powiatowych, chociaż rozbiegła się pogłoska, że mają burzyć całe ‚stare miasto“ i aż po zamek ufortyfikować; bawi się, chociaż aż nadto dobrze pojmuje, że jeszcze kilka brzemiennych lat, a pogrzebaną zostanie podatkami i długami, jak Herkulanum lawą i popiołami Wezuwjusza!... Optymiści opowiadają, że jeźli Warszawa przestanie być militarno-urzędniczém miastem, wyrośnie na portowe i handlowe. Bardzo to być może, bo do tego brakuje nam jednéj tylko drobnostki, portów i handlu. A czemużby się i te znaleść nie miały?... Tak nam się od niejakiegoś czasu dobrze wiedzie!... Alf.

ROZMAITOŚCI.

Książę lokajem.

Słynny malarz francuzki z czasów Ludwika Filipa Decamps mieszkał aż na trzeciém piętrze w jednéj z wysokich kamienic Paryża. Pewnego razu przybywa do odźwiernego domu porządnie ubrany pan i pyta się, czy artysta jest u siebie? — Jest, odrzekł portyer, lecz przeprawa do niego nie łatwa! — trzeba aż 70 razy podnieść nogę w górę, nim się dojdzie do jego pracowni. — A to trochę męczące. — Ba i bardzo! Narzekam ja téj nie mało na te

schody, gdy mi wypadnie zanieść co do pana Decamps. Na nieszczęście tych przesyłek jest bez liku. Ot, właśnie mam tu dla niego parę butów! Człek stary! hm! możeby pan był tak grzeczny i..!.. — I zabrał buty ze sobą? Nie prawdaż? — Ha, jeżeli łaska pańska! — No dajcie je, rzekł przybyły z uśmiechem i powoli puścił się w mozolną podróż pod górę. Przeszedł jedne i drugie schody i stanął przed mieszkaniem malarza. Tu zadzwonił; po chwili drzwi się otworzyły i wyszedł Decamps z paletą i pędzlem w ręku. — Witam Waszą Król Wysokość; zawołał. Jakiż zaszczyt książę mi przynosisz, odwiedzając nizkie moje progi. — Ależ nie takie niskie, panie Decamps. Zresztą przynoszę nie to, co pan mówisz, tylko buty Jego. — Buty? moje? co widzę? Miałże by ten łotr portyer ośmielić się na taką poufałość względem Waszéj Wysokości? Ależ to nic dziwnego, mój panie Decamps. Ręka rękę myje, noga nogę wspiera. Wyświadczyłem mu tylko maleńką przysługę, której, jak mniemam, i on by mi w danym przypadku nie odmówił! — To mówiąc, książę Orleanu — był nim bowiem nasz nieznajomy — oddał artyście powierzone sobie buty.

Nie tylko czapka gore na głowie.

Na jednéj z poobiednich przejażdżek modnego świata Londynu, zwanych z włoskiego corso, błyszczały wszystkie elegantki pysznemi koafiurami. Nagle w alei, przeznaczonéj dla pojazdów, zjawia się jeździec z laską na ramieniu, na któréj zatknięty był ogromny szynion. Jechał on zwolna między tłumem wystrojonych piękności, a widok jego osobliwy wywierał wpływ na całą płeć piękną. Począwszy od dam, przypatrujących się kalwakacie z przyległych ławeczek, aż do pierwszych lwic, rozpartych niedbale w koczach i koczykach chwytały się wszystkie na widok tajemniczego jeźdzca prawie mimowolnie za sploty swych włosów. Czy nieznajomy ów, posiadał jaką dziwną siłę magnetyczną, czy też inna była przyczyna nowego ruchu arystokratycznych rączek nad tem, Anglicy do tego czasu łamią sobie głowy.

Nie dobrze w kilku połykać jednego!

Osobliwy wypadek wydarzył się niedawno temu w spedycyjnéj sali towarów, na jednéj z poczt algierskich. Stało tam wielkie pudło z dwoma wężami, przysłanemi z Batui a przeznaczonemi dla zoologicznego ogrodu w Marsylii. Przypadkiem dostał się do nich kot. Z szybkością strzały rzuciły się węże na niego, pochwyciły go w swe obręcze i zadławiły; poczem, czula para wzięła się do połknięcia ofiary. Samiec pochwycił kota za głowę — samica zaś za tylną część jego ciała. Wiadomo zaś jest, że węże, połknąwszy na wpół jakie zwierzę, nie mogą już z powodu dziwnéj budowy zębów i szczęk wyrzucić go z paszczy. Tak więc i teraz gady chłonęły w siebie zwłoki nieszczęsnego mruczysława, póty, aż się spotkały głowami ze sobą. Tu nastała pauza mimowolna w obiedzie. Węże nie mogły się bowiem ani posunąć naprzód ani też cofnąć. Wreszcie samica, wiedziona apetytem czy też instynktem zachowawczym, rozwiera paszczę jak najszerzéj i usiłuje połknąć keta wraz z małżonkiem. Lecz niestety, wysilenie to przypłaca śmiercią, któréj niebawem i drugi wąż uległ. Trzy te zwierzęta, tak dziwnie spojone ze sobą zachowano jako osobliwości w spirytusie. Dyrekcya zoologicznego ogrodu jednakże zaskarżyła zarząd poczty o niedbałość i żądała wynagrodzenia szkody. Podobno nie tylko węże lubią tak en famille spożywać niebaczne ofiary, czy apetyt ten jednakże pociąga złe skutki za sobą, pokaże późniéj historya, notabene nie naturalna.

W.

Dowcipny uczeń.

„Od czego rosną chłopcy?“ zapytał się nauczyciel ucznia. „Od deszczu, panie profesorze.“ „A czemu my starsi od deszczu nie rośniemy?“ „Bo panowie chodzą z parasolami.“

Angielska skarga sądowa.

Przed niedawnym czasem stawał przed kratkami sądu w Manchester niejakiś p. Minty, oskarzony przez p. Fox o zapłacenie funta szterlingów miesięcznego wynagrodzenie za zbyt głośne a częste pianie kokotów, które przeszkadzało jego spoczynkowi nocnemu — szczególniejszą zwracał oskarzyciel uwagę, na to, że kokot pieje 6—7 razy w ciągu minuty, co szkodliwy wpływ na nerwy sąsiadów słuchających sprawia. I rzeczywiście sędzia uznał słuszność skargi, gdyż jak z jednéj strony celem zgody sąsiedzkiéj konieczną jest wyrozumiałość, tak z drugiéj strony utrzymywanie zbyt hałaśliwych zwierząt domowych — musi być policyjnie wzbronionem. Do hałaśliwych zwierząt domowych zaś policzyć należy koguta piejącego 150 razy w ciągu niespełna półgodziny. Funt szterlingów wynagrodzenia za pierwszy miesiąc otrzymał oskarzyciel. — Na przyszły miesiąc jednakże oddał vice — versa podwójną sumę p. Minty, za ujadanie się psa którego tenże był właścicielem.

Lepiéj z jedną nogą.

Latour Mauburgh stracił w bitwie nogę. Gdy nad nim służący płakał, tak go pocieszał: nie płacz, ale się ciesz, bo tylko jeden but będziesz miał do czyszczenia, a przytem, mój kochany nie masz jak drewniana noga! Odciski nie dokuczają, pies nie ugryzie, koło nie zgniecie, na buty tyle się nie wyda, mogę nią w kominie ogień poprawić i węgle wygarnąć, a na ostatku jak mi się zepsuje, mogę nią w piecu napalić.

Zdania moralne.

Chorągiew schowana do kieszeni, nie lepszą od chustki do nosa.

Kto sieje pokrzywę, nie będzie zbierał fiołków.

Szarada.

Pierwsze jest wielce cierpliwe,
Podczas, gdy drugie złośliwe,
Wszystko, chociaż szpeci ząbki,
Biorą i panie do gąbki.

(Rozwiązanie szarady w nr. 3: ***szyld — kret.***)

PUSZKA DO LISTÓW.

„Sfinksowi częstochowskiemu“: Rozwiązanie i zagadki dobre. Prosimy o więcéj. Pani E. z K. P. w K.: Pustelnik i nowy odlew znanego typu Donżuanów, Pan Albin nie mogą chwilowo znaleść u nas gospody, bo dział większych i mniejszych powieści mamy na cały rok zaopatrzony. Rękopisy zwrócimy pocztą. Pan K. znajdzie swą odpowiedź w własnym swym wierszu: „Lecz duch geniusz grzmiał zawcześnie — Chciałbyś światu zgrywać (!) pieśnie!“ — Panu Cz. w Św. („Do oświaty“): Peliony, Muzy, Jowisze śpią od dawna obok rogówki i harcapu. Szanujmy ich drzemkę! — Panu B. Brz: Prosimy o więcéj ramotek, lecz z wybitniejszą poętą. — Panu Kn. w Tel.: Kupcy mają szyldy, nie szildy.

Redaktor odpowiedz.: M. Leitgeber w Poznaniu.—Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. — Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.